



## Janusz Brochwicz-Lewiński

część II z II

Sygnatura notacji: **N0832**  
Data urodzenia: **17.09.1920 r.**  
Data nagrania: **15.09.2014 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**  
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 47 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Panie generale, pan powiedział na samym początku, skąd się wziął pana pseudonim, czyli pseudonim Gryf. A wie pan może odnośnie pseudonimu Zapora, skąd ten pseudonim mógł się [wziąć]?

Słucham?

Wie pan może, skąd się wziął pseudonim Zapora?

Jego pseudonim?

Mówił na przykład, dlaczego taki pseudonim sobie nadał?

Nie. Nigdy nie pytałem się o to, tak że na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. „Zapora” wybrał sobie ten pseudonim, każdy miał jakiś powód. Mój powód był taki, że myślałem o części mojej rodziny, która pochodzi z Pomorza, nawet mi mówią, że nie tylko pochodzi z Pomorza, ale że jesteśmy potomkami Kaszubów też, więc tam są ciekawe rzeczy. Ja odkryłem w różnych dokumentach i pismach, że na przykład powtórzyło się coś ciekawego. Na Śląsku są miasta i miasteczka: Lewin Brzeski, Lewin Kłodzki, Lewino i Lewinko - to są miasteczka i okręgi, gdzie moja rodzina była w XI-XII wieku już znana. Teraz jest ciekawe, że ta część chorągwi pod Lwem Brochwiczem, która poszła bić się za króla Bolesława Chrobrego i innych książąt, osiadła na Pomorzu i zbudowała Lewino, Lewin i dwie lewińskie jeszcze miejscowości, te same, jak były zbudowane tam. Powtórzyło się i na mapie można to zobaczyć. Nasz pradziad, który

tam był i był chorążym królewskim, w czasie jak Niemcy wkroczyli na Pomorze i zaczęli brać Pomorze w swoje ręce, miał ofertę od cesarza niemieckiego, żeby był wysokim dostojnikiem, nawet mu posłał worek ze złotymi monetami, żeby go przekonać o jego dobroci cesarskiej. On powiedział, taka sama droga, bo cesarz powiedział, żeby do niego przyjechał, jak z Lewina do Berlina, jak z Berlina do Lewina, i za to był prześladowany, musiał uciekać, ale był takim dobrym biznesmenem, że za to, co zabrał stamtąd i uciekał, kupił sobie pięć majątków na Kujawach i tam się osiedlił. Więc moja historia, muszę w krótkich słowach powiedzieć chronologicznie, jak to było: dostałem się do niewoli po kapitulacji, 5 października. Byłem w niewoli, nie poszedłem ze szpitalem, tylko ze zdrowymi. Pojechałem najpierw do Lamsdorfu, w Lamsdorfie był tranzyt, oddział, gdzie segregowali wojennych jeńców. Byłem tam dwa tygodnie, w bardzo prymitywnych warunkach. Mieszkałem nie w baraku, tylko na podwórku, bo nie było miejsca w barakach, za dużo ludzi było po powstaniu dostarczonych, i po dwóch tygodniach zawołała mnie komisja, dali mi blachę niemiecką z numerem i powiedzieli: „Jesteś przydzielony do obozu VII A Murnau”. To był najlepszy obóz jeniecki w Niemczech, jaki był. Było 5500 oficerów, z tego trzydziestu pięciu generałów, między innymi admirał Unrug był tam, Kutrzeba, generał Plisowski, generał... jak on się nazywał? Rommel, dowódca obrony Warszawy i szereg innych. Warunki były dużo lepsze. Ja trafiłem szczęśliwie na grupę kawalerzystów, którzy tam byli od czterdziestego roku. Janusz... zaraz, to był rotmistrz Kulesza, to był Zygmunt Bilwin, Janusz Komorowski, olimpijska grupa była tam. Walczyłem z bronią w rękę i dalej żyję, to jestem zdumiony tym, nie chcę wierzyć w to, bo wszystko leży w grobach, już nie ma nikogo.

A z pana kolegów żyje ktoś jeszcze z towarzyszy broni?

Nie ma nikogo. Z mojego oddziału, który tutaj poszukałem i pozbierałem, żyje dwóch ludzi.

Ale z Warszawy tutaj?

Tutaj z Warszawy, bo ja miałem pięćdziesięciu w moim plutonie.

A z Lubelszczyzny żyje ktoś tam może, tam z tych chłopaków?

Tam nie ma nikogo. Tam mój oddział był całkiem wybity do nogi. Ja tam byłem i szukałem, to były wiadomości od ich krewnych czy tam jakichś znajomych [i mówili]: „Niestety nie możemy tobie pomóc, wszyscy z nich zostali zamordowani”. Stasio Piecyk, który był dowódcą sąsiedniego „Kedywu” do mojego, został zamordowany zaraz po wojnie, to go zaraz w łeb uderzyli, bum i już nie ma.

Jak on się nazywał, Stanisław...?

Słucham?

Stanisław Piecyk?

Piecyk, Stanisław Piecyk.

Panie generale, chciałbym, żeby pan powiedział coś na temat „Parasola” i pana służby w „Parasolu”.

Dobrze. Więc przyjechałem do Warszawy, parę dni później zameldowałem się u Borycza, który był dowódcą oddziału, Adam Borycz, i przydzielił mnie do IV plutonu najpierw 1. kompanii. Rafał był dowódcą kompanii, bardzo miły człowiek - zginął pod koniec sierpnia w pałacu Krasieńskich i zacząłem moją funkcję, która była [następująca]: byłem instruktorem broni i instruktorem wyszkolenia bojowego. Brałem nie tylko ludzi z mojego plutonu do różnych miejscowości, gdzie mieliśmy ćwiczenia z bronią i strzelnicę, Dęby Wielkie i Miłosna i tam naokoło tu, ale trzeba było transportować broń i trzeba było przejeżdżać ludźmi. Dużo nie można było, żeby razem jechało, bo to było podejrzenie, więc pojedynczo. Były trudne warunki, reszta instrukcji była dawana z miejsca zbiórek, w piwnicach, w różnych prywatnych mieszkaniach i ćwiczyłem ich terenoznawstwo, broń i musztra. Strzelanie było tylko możliwe na dworze gdzieś w lesie, i to rzadko. To trwało jakieś parę miesięcy. Były akcje, które wykonywaliśmy wówczas, były akcje na samochody, były potrzebne do oddziału. Brałem udział w szeregu akcji. Były tak samo akcje na poważniejsze rzeczy, to znaczy apteka Wendego, którą zrobiłem 10 lipca, były transporty medycznych leków i wyposażenia z niemieckich centralnych dostaw na front wschodni, z tym że one były przywożone do apteki Wendego, która była takim punktem rozdziałowym i stamtąd pojedyncze jednostki szpitalne i sanitarne brały te instrumenty, i transportowały dalej na wschód. Przeważnie do Rosji to szło. Pewnego dnia była wiadomość, że bardzo duża ilość leków, narkotyków i instrumentów chirurgicznych, jak na przykład stoły operacyjne i narzędzia chirurgiczne były dostarczone, które były tylko przeznaczone na krótki pobyt tu i były wysłane do Rosji, żebyśmy zrobili tę aptekę. Apteka leży, w domenie niemieckiej leżała, na której było około 2500 Niemców. Były patrole żandarmerii ciężko uzbrojonej, w samochodach i w motocyklach, były posterunki gestapo i duża ilość lotników, duża ilość wojska normalnego i było miejsce, gdzie był bardzo duży ruch na Krakowskim Przedmieściu. Flagi powiewały wszędzie, wszędzie byli Niemcy, najlepsze domy były zajęte przez nich, i to trzeba było zrobić bez najmniejszego hałasu, Pan Bóg oszczędza, żeby był jaki jeden strzał. Ja to przeprowadziłem, że zrobiłem wywiad: zbadałem w środku tę aptekę, w mundurze niemieckim, miałem fałszywe dokumenty przy sobie i fałszywe recepty, zrobiłem szkice tego miejsca, systemy alarmowe, jakie były mniej więcej wejścia, jaka była wewnętrzna organizacja, kto był na służbie i tak dalej. Dzień był wyznaczony 10 lipca. Miałem dwunastu ludzi z sobą i trzy sanitariuszki-łęczniczki, piętnaście osób, jedną ciężarówkę dwutonową do dyspozycji, która podjechała blisko apteki i stała, miałem ludzi w kombinezonach, którzy byli jednakowo ubrani. Okres tej akcji miał być pół godziny najwyżej. I co się stało? Poszedłem do drzwi wejściowych, zadzwoniłem - otworzył mi dyżurny aptekarz. Byłem w niemieckim mundurze, miałem receptę z sobą. Wpuścił mnie do środka, wszedłem do jego miejsca, gdzie on pracował, do tego pokoju przyjmującego klientów, wyciągnąłem pistolet z mojej kabury i mówię mu: „Jesteśmy podziemna organizacja. Proszę - bo to był Polak w niemieckiej służbie - nie będę strzelał do pana, nie chcę rodaka zabijać, proszę mi dać klucze, my weźmiemy to, co potrzebujemy. Potrzebujemy lekarstw i środków różnego gatunku” - kokaina, morfina, które były w ogóle niemożliwe i niedostępne w Polsce, nikt nie miał tego, tak że to było dla nas złoto, warte jak złoto. Nie stawiał oporu, posadziłem go na podłodze, dałem mu wartownika, który go pilnował, moi ludzie przechodzili przez okres, co parę minut ktoś, miałem wszystkich w środku. Każdy miał zadanie do wykonania, które było dane mu, mieli worki, mieli specjalne instrumenty do otwierania drzwi, wytrychy i inne kleszcze, żeby łańcuchy przecinać i dostać się w razie czego, jeżeli nie ma klucza pasującego. Każdy miał zadanie, pierwsze piętro byli inni, parter inni. Wszystko było spakowane do worków. Zabrało nam trochę czasu,

bo stróż, który był, w międzyczasie też przyszedł i nie mógł znaleźć kluczy do pewnych komórek, które były z bardzo ważnymi lekarstwami i instrumentami, musieliśmy wyłamywać drzwi. Aparaty telefoniczne były wyłączone, ludzie byli na swoich stanowiskach. Czterdzieści pięć minut zapotrzebowałem, żeby to zrobić. Zrobiliśmy robotę, wszystko było w workach gotowe, ciężarowy samochód podjechał pod drzwi, ubezpieczenia zameldowały wszystko w porządku, załadowaliśmy towar, towar był w workach bardzo dobrze zapakowany, wsiałem z kierowcą jednym z moich zastępców do samochodu ciężarowego. Na Poznańskiej ulicy był sklep warzywny, który był tylko takim pozorem, bo w piwnicy były magazyny bardzo ważne z bronią i z lekami i z instrumentami, tak że te jarzyny i owoce, które były na górze, były sprzedawane w małych ilościach, ale to był tylko pozór. Doktor pułkownik Skiba podpisał protokół, że otrzymał ode mnie wszystko, dałem mu, wsiałem do tramwaju i pojechałem sobie obejrzeć miejsce, jak wygląda po moim napadzie. Miałem z sobą jeszcze jednego żołnierza, wypiliśmy kawę i lody zjedliśmy, i widzieliśmy tłum ludzi, którzy klaskali w ręce, Niemcy, jak wariaci jeździli naokoło, alarm zrobili, szukali nas, ale nie było ani śladu po nas. Skończyła się robota bez jednego strzału, bez jednego jakiegoś oporu od kogoś, w bardzo piękny spokój, dostałem pochwałę od dowódcy i to było wszystko, i tak się skończyła apteka Wendego, a lekarstwa i to wszystko było bardzo pożyteczne, jak Powstanie wybuchło, bo szereg szpitali bardzo chwaliło to, co otrzymali.

A jakby mógł pan opisać w skrócie pana uczestnictwo w Powstaniu Warszawskim?

W Powstaniu Warszawskim byłem dowódcą grupy szturmowej, która była II pluton 1. kompanii „Rafał” był moim dowódcą, kapitan „Borys” był ranny 6 [sierpnia] już, jego zastępca objął dowodzenie batalionem, więc zmiany były na wyższym stopniu. Ja miałem wolną rękę, żeby robić robotę - chodziło głównie o to, żeby nie dopuścić do tego, żeby Niemcy przerąbali się przez Wolską ulicę, która była ze wschodu na zachód bardzo ważnym strategicznym punktem. Generał Reinhardt, który miał swoją placówkę dowodzenia w tramwaju, która stała 500 metrów albo 600 metrów od rogu Wolskiej i Działdowskiej, tam w tym terenie, dowodził bardzo dużą grupą wojska. Między innymi w jego oddziałach był batalion Dirlewanger, który był dowodzony przez SS generała Dirlewangera, który właśnie składał się z tych morderców, którzy byli już na froncie trzy lata, byli zaprawieni do walki, poza tym byli kłusownikami, bardzo dobrze strzelali, mieli wyborową broń z lunetami, która była bardzo niebezpieczna, bo w dobrych rękach jeden pocisk był śmiertelny, każdy, jak on wystrzelił. To było to. Żeby dodać im dużą siłę, dywizja spadochronowa, pancerna generała Göringa, marszałka Göringa, była wyekwipowana w czołgi „tygrysy” i „pantery”, Mark IV, czołgi niemieckie, samochody pancerne ciężkie i opancerzone lekkie samochody. Mieli kaliber 88, acht-acht armaty, po trzy karabiny maszynowe albo w niektórych wypadkach cztery MG 34 albo 42 i wyrzutnie rakiet. Załogi wyszkolone w Afryce i we Włoszech świetnie, komunikacja radiowa, bardzo precyzyjnie do roboty podchodzili, każdy znał swój fach: czy to był kanonier, czy to był radiooperator, czy to był komendant czołgu, czy to był ładowniczy - wszyscy znali robotę bardzo dobrze. Komunikacja radiowa na wysokim poziomie, operacja czołgowa dwoma albo trzema czołgami przy obiekcie, amunicji w bród, albo rozszarpująca amunicja, albo amunicja szrapnelowa, albo amunicja przeciwpancerna, albo amunicja gazowa. To wszystko było na pokładzie, załogi miały jeszcze do tego dołożonych Panzer-Grenadierów, którzy byli piechotą pancerną, która była wyszkolona, żeby czołgi miały oczy, bo czołg ma dobre oczy na przodzie, ale na boku nie ma, więc chodzi o to, że czołg w akcji w mieście musi używać taktyki takiej, żeby miał opiekę od tyłu albo od boku. Komunikacja dodatkowa była, że wszystkie te nowe czołgi, „pantery”, „tygrysy”, miały telefon, który był ulokowany z tyłu czołgu i była słuchawka dostępna dla komendanta,

który dowodził piechotą pancerną i w każdej chwili oni otrzymywali meldunki, oprócz radia. Te dwa elementy tworzyły bardzo dobry materiał, który myśmy musieli zwalczyć. Ja miałem pięćdziesięciu ludzi, ja miałem dwa karabiny maszynowe i miałem miotacz płomieni i miałem PIAT-a, który miał ograniczoną ilość amunicji. Mieliśmy krótką broń w bród, maszynowe pistolety i karabiny, i granaty, i to było wszystko, i butelki zapalające. Ja mogłem tylko wytrzymać i walczyć przez triki, które myśmy zrobili. Z drugiego i trzeciego ja urządziłem sobie z tego pałacyku Michla, który był bardzo dobrym i dogodnym budynkiem, a leżał na mojej trasie, która prowadziła do barykady na Młynarskiej i żeby do mnie się dostać, musieli przejść przed domem i atakować tę barykadę, która była bardzo dobrze uzbrojona, składała się ze starych samochodów, tramwajów, blachy, płyt trotuarowych, z szyn kolejowych i z szyn tramwajowych, i doły były wykopane, tak że czołg nie mógł przejechać. Żeby to zrobić, trzeba było zrobić porządek na drodze i wtedy jechać, bo nawet dobry czołg nie mógł tych trudności pokonać. Przez okres 2, 3 i 4 [sierpnia] ja zabroniłem moim ludziom poruszać się na terenie młynów parowych i pałacyku Michla z tego względu, żeby nieprzyjaciel nawet przez lornetki nie widział, że my tam jesteśmy. To mi się udało. Udało mi się oczyścić dom, nie było nic w nim, tylko były prywatne rzeczy Millera, który uciekł z rodziną dzień przed powstaniem, szafy były pełne różnych konserw, łachy wisiały w szafach, piękny dom, pięknie wyposażony, idealne miejsce na holiday, ale niestety to holiday było krótkie. 4 [sierpnia] był bardzo przełomowy dzień dla nas, bo miałem dosyć dużo wina, dosyć dużo konserw, które zdobyłem na Niemczech i postanowiłem razem z moimi ludźmi zrobić matę „wieczorynkę”, która mi się udało - jedyna w Powstaniu, bo byłem później ranny, nie mogłem nic więcej robić. Więc ta „wieczorynka” miała za ideę piosenkę: „»Parasol«, Michla, Żytnia, Wola” powołać do życia i zrobić ją popularną. Ziutek Szczepański, podchorząży, który też zginął w czasie Powstania, umarł od ran, trochę później, we wrześniu, skomponował tę piosenkę, dodał jej melodię i słowa, i tam było koncertowe piano, które stało w salonie - Bernstein, piękne piano - siadł do pianina, my naokoło jego wieńcem, sanitariuszki, łączniczki, moi koledzy, towarzysze broni i ja też, śpiewaliśmy tę piosenkę i naprawdę ona była piękna i tak się nam podobała, że wszyscy zaczęli tę piosenkę śpiewać. Ona była popularna później, po powstaniu: ona była popularna w czasie PRL-u, ona jest popularna dzisiaj, ją grają na ratuszu, śpiewają, płyty są z niej zrobione, i to właśnie było 4 sierpnia o godzinie ósmej albo dziewiątej rano. Niestety, ta sielanka minęła. Następnego dnia, 5 [sierpnia], leżałem na kanapie w tym salonie, chciałem sobie trochę odpocząć, bo nie spałem parę nocy, przyszedł służbowy i mówi: „Panie podchorząży, atakują nas”. Patrzę przez okno, które wychodziło na ulicę - rzeczywiście, posuwa się bardzo duża kolumna uzbrojonych dirlewangerów i gotowi z bronią w ręku maszerują wolnym krokiem przed naszymi oknami. Nie wiem, co się stało, stanęli przed oknami, i to był moment, gdzie ja dałem ogień na tych dirlewangerów, oni byli wymieceny po prostu. Muszę jeszcze powiedzieć, że miałem dwunastu ludzi dodatkowych, którymi też dowodziłem w fabryce Franaszka po drugiej stronie. Ta grupa była słabsza od mojej, ale było dwunastu ludzi, miało też maszynowe pistolety, pistolety, karabiny, no i trochę granatów. Te dwa ognie, stamtąd i mój, dały piorunujący wynik - ta grupa pierwsza, która stała, jakieś sześćdziesiąt do osiemdziesięciu chłopów, zginęła na miejscu, bez jednego człowieka straty z mojej strony, nie miałem nikogo ani rannego, ani zabitego. Trupy leżały wszędzie: na ulicy po lewej stronie, po prawej, na środku jezdni, w rynsztokach. Konali, umierali, krzyczeli: „Pomocy!”. Nikt im nie pomógł, niech zdychają. Co później się stało? Dowódca tej grupy, która atakowała mnie, nie było jeszcze pancernej pomocy w pierwszym szturmie, tylko piechota była i Panzer-Grenadier. Było parę tych lekkich samochodów pancernych z tyłu gdzieś tam, z 500-600 metrów dalej, ale one nie były w akcji używane. To towarzystwo było nie tylko, leżały trupy, ale po prostu poumierali wszyscy w tym czasie, jak nie było pomocy, jedynie ten oficer, który dowodził, wpadł na pomysł, żeby otworzyć świece dymne i sobie zrobić dymną zasłonę. Ta dymna zasłona pomogła,

że ci ludzie, którzy uciekli, a byli lekko ranni, mogli być transportowani do szpitali albo do punktów opieki. Był spokój godzinę, po godzinie drugi szturm bierze udział, ale już z pomocą czołgów, już idą „pantery” i „tygrys” do akcji, i oni wiedzieli, że ja mam jakąś broń przeciwpancerną. Podjechali jakieś 600 metrów od mojego miejsca walki i otworzyli ogień z armat, nie tylko pojedynczy, ale dwa-trzy czołgi razem. To oczywiście zdemolowało część budynku i miało duży, kolosalny wpływ na mur, parkan, który otaczał tę rezydencję, ale odparłem ten szturm i wycofali się. Nie było strat dużo, miałem paru rannych, oni mieli paru zabitych, ale nie było tego, co było w tym głównym szturmie, pierwszym, bez pancernej broni. Trzeci szturm: był już skoordynowany ogień na bramę, która wyleciała tak jak domek z kart, okna były powybijane wszystkie, róg domu był uszkodzony z armat, karabiny maszynowe grały po oknach i było już rannych dużo i zabitych z jednej i z drugiej strony. Jeszcze mi się udało. Czwarty szturm, który był parę godzin później, był już katastrofalny. Czołgi wjeżdżały na dziedziniec, musiałem się wycofać z głównego domu do młynów parowych, tam były worki z mąką, dźwigi były elektryczne, które pracowały - zrobiliśmy sobie osłonę, no i oczywiście był punkt, który nie był przewidziany w programie żołnierza walczącego z bronią w ręku na froncie: worki były przestrzelane z karabinów maszynowych i z armat, młyn parowy dostarczył dużo mąki, wyglądaliśmy jak murzyni, biali od góry do dołu i dym szedł z tego. To skończyło się, dostałem rozkaz od dowódcy, pełniący obowiązki dowódcy oddziału „Jeremiego”, żebym się wycofał. Nie miałem innego wyjścia, miałem dużo rannych, amunicja mi się kończyła, nikt mi nie chciał pomóc, bo nikt nie chciał oddać amunicji. Sąsiednie oddziały bardzo mnie przepraszały, ale nikt mi nic nie dał. Miałem zdobytą amunicję na Niemcach, to jedynie mi pomagało, ale karabiny maszynowe grały cały czas, skrzynki się opróżniały w szalonym tempie, ranni płakali i błagali o pomoc, no i musiałem się ewakuować. Ewakuowałem się na dół Wolskiej ulicy do barykady na Młynarskiej, tam pomagałem im przez parę godzin, później szedłem na dół jeszcze po kawałku i walczyłem aż do godziny wieczornej 6 [sierpnia]. Później 7 [sierpnia] poszedłem na odpoczynek na „Gęsiówkę” i na „Gęsiówce” przespaliśmy się pierwszą noc od powstania i byłem przydzielony z moim oddziałem na walki, żeby wyrzucić nieprzyjaciela z cmentarza augsbursko-ewangelickiego koło kaplicy Halpertów, tam walczyłem. Walczyłem rano i gdzieś koło dziewiątej-dziesiątej zrobiłem frontalny atak i chciałem zdobyć karabin maszynowy, który mnie nęcił trochę, zacząłem komendy wydawać i jakiś wyborowy dirlewanger wziął mnie na cel i mnie rąbnął, i był koniec z moją karierą powstańczą. Byłem zły na siebie, bo chciałem dalej walczyć, ale nie byłem w stanie nawet nogą ruszyć, bo mnie opatrzność już chciała brać do nieba, i prawie byłem w niebie, ale doszedłem do tego punktu, gdzie można było jeszcze wrócić na ziemię, bo tam jest ciekawa rzecz: idzie się do góry, jest piękna pogoda, niebo niebieskie, zielone krzaki, ciepłutko, nie ma żadnych bóli, nic nie ma. Całe życie przed sobą widziałem, to, co przeżyłem, twarze rodziców, twarze przyjaciół, piękne momenty towarzyskie - film taki jakby był w kinie na dużym ekranie. I zaczęło mnie ciągnąć, żebym szedł. Szedłem dalej tą drogą, fruwałem, bo wtedy człowiek zamienia się w coś innego, nie można powiedzieć, co to jest. Ja składałem bardzo obszerne meldunki do komisji, która badała takie rzeczy, jak moje życie po życiu, bo jest szereg ludzi - niedużo, ale są - a w Anglii spotkałem około dziesięciu osób, które to samo przeżyły co ja: przeżyły tę śmierć czy tę półśmierć i wracały z powrotem na ziemię, a tam jest jakaś granica, której nikt nie może wrócić się jak przejdzie ją, i mnie właśnie ta granica zatrzymała. Patrzyłem w przepaść na dół, tam leżało moje ciało i ta siła mnie wrzuciła do mojego ciała i obudziłem się w szpitalu i byłem pełen bólu, strasznie mnie bolała twarz i całe ciało, i przeżyłem. A stał koło mojego łóżka doktor i ksiądz z ostatnimi sakramentami i doktor powiedział do księdza: „Szkoda, że ten młody człowiek będzie umierał” i ksiądz dał mi ostatnie sakramenty, i te sakramenty ja pamiętam dobrze, że słyszałem jego słowa, słyszałem rozmowę, ale nie mogłem mówić, bo nie mówiłem przez szereg tygodni w ogóle, bo miałem spalone usta i język. I przeżyłem. Przeżyłem resztę Powsta-

nia na barłogach w różnych domach, w prowizorycznych szpitalach. Byłem bez bandażu, byłem bez dobrej opieki lekarskiej, prowizoryczną miałem. Przeżyłem, i co jeszcze przeżyłem, bo to jest nie do uwierzenia, że 30 [sierpnia] wlałem do kanału na placu Krasińskich i przeszedłem, dwadzieścia godzin byłem w kanale i przeszedłem do Śródmieścia, bo Stare Miasto było wykończone i nie było innej możliwości uciec stamtąd, bo było bombardowane dzień i noc, i Niemcy podpalali domy i mordowali wszystkich, tak że powiedział do mnie dowódca, który się mną opiekował: „Musisz iść przez kanał” i mnie koledzy i jakieś osoby ciągnęły przez ten kanał, a kanał może być duży, ale może być taki, że trzeba się czołgać. Śmierząca ciecz, szcury latają, trupy wszędzie, ciemno, nie wolno mówić, nie wolno nic robić, tylko trzeba być posuszonym i czołgać się, i ja to zrobiłem. Przeszedłem i wyszedłem żywy, na pasie mnie wyciągnęli w Śródmieściu koło bułgarskiej ambasady, i żyłem dalej do końca kapitulacji. Przeżyłem to, poszedłem do niewoli ze zdrowymi i byłem ranny w tym obozie Murnau, gdzie się mną opiekowali kawalerzyści, którzy dali mi łóżko u siebie, bo reszta powstańców spała w hangarach, a tam było bardzo zimno. Spało 400 ludzi w hangarze, po 400 w każdym, a ja miałem dobre łóżko i spałem - ku mojej radości - koło rury, która szła na górę z ciepłem, to miałem ciepłutko. Dali mi doktora, który wygrzebał jakieś elementy odłamków kości z dolnej szczęki i odłamki, które miałem w sobie. Leczyli mnie tam, jak mogli, pomagali. Przeżyłem tę niewolę, miałem możliwość trochę mleka dostać i kaszki jakiejś, bo nie mogłem gryźć, i żyłem, i żyłem aż do końca. Jak Amerykanie oswobodzili obóz 23 kwietnia, generał Kutrzeba osobiście poszedł do amerykańskiego generała, który dowodził tą brygadą, powiedział: „Mam tutaj chorego chłopca, który umiera powoli, bo ma gangrenę. Weźcie go jak najszybciej i pomóżcie mu”, a amerykański generał wydał rozkaz swojemu pułkownikowi sanitarnemu, powiesili mi taką tabliczkę tutaj, że wymagam natychmiastowej ewakuacji, wsadzili mnie do sanitarki, do następnego polowego lotniska z małego samolotu sanitarnego do dużego, byłem w następnym dniu już w Paryżu, tam mnie wzięli do generalnego szpitala. Niestety sekcja operacji transplantacyjnych była już wysłana do Ameryki, to mnie wsadzili do samolotu po paru dniach i przewieźli do Londynu, a w Londynie generał „Bór” Komorowski osobiście interweniował u Brytyjczyków i mnie wzięli z miejsca do szpitala na operację szczęki. Tam byłem osiem miesięcy i w ostatniej chwili uratowali mi życie. Wróciłem do brygady spadochronowej, służyłem razem z szeregiem skoczków przez okres aż do rozwiązania. Polskie wojsko się kończyło, Anglicy ofiarowali mi służbę w brytyjskim wojsku. Wzięli pod uwagę znajomość moich języków, szczególnie niemieckiego języka i angielskiego znajomość, którą miałem dobrą, dostałem posadę w pułku huzarów przybocznych, a stamtąd poszedłem do wojskowego wywiadu i pracowałem trzydzieści lat. Po trzydziestu latach skończyłem moją służbę, poszedłem do cywila - dali mi posadę jako oficer administracyjny i dowódca kontyngentu kadeckiego na oficerów w College Windsor, bardzo dobrym, w Niemczech, gdzie pracowałem piętnaście lat i byłem bardzo serdecznie tam przywitany i szanowany. Byłem odznaczony British Empire Medal, który dostaje się za zasługi i rekomendowany na inne odznaczenia brytyjskie. Byłem jeszcze przez długi czas na Oriencie, walczyłem w Palestynie, byłem w Syrii, byłem w Sudanie, byłem w Afryce, jak powstanie w Kenii było. Służyłem wiernie przez mój okres, no i wróciłem do Polski po pięćdziesięciu ośmiu latach, bo chciałem wrócić do kraju, chciałem tu być i tęskniłem za ojczyzną cały czas, ale nie było dla mnie powrotu, bo na wielkim parkanie i na drzwiach do Polski było napisane: „Persona non grata”, a za to, że walczyłem za ojczyznę, nie wolno mi było do mojego kraju wracać. Dzięki temu wielkiemu rządowi ubeckiemu tacy jak ja musieli zostać na emigracji albo ginąć tutaj w kazamatkach, czekać, żeby ktoś strzelił w łeb i być pochowanym pod betonem gdzieś w jakiejś dziurze, pod jakąś ubikacją, albo łączką, albo czym, i to jest nasza narodowa tragedia. Teraz mamy wolną Polskę, dwadzieścia pięć lat wolności, cieszę się każdym dniem i chciałbym, żeby ten kraj nie tylko był w dobrobycie, ale żeby był pięknym krajem i takim, jak był, jak ja byłem młodym

chłopcem i miałem dziewiętnaście lat i uwielbiałem Piłsudskiego, i księcia Poniatowskiego, i naszą historię, i nasz piękny kraj, który był w rozbudowie, świetnie rządzony. Chciałbym to jeszcze przeżyć, ale zegar czasu jest nieubłagany i człowiek nie wie, kiedy otworzy oczy, a kiedy nie. Dziękuję.

Panie generale, jeszcze takie ostatnie pytanie na koniec: czy takie osoby jak Hieronim Dekutowski mogą być dzisiaj dla młodego pokolenia wzorem patriotyzmu?

Oczywiście. Ja myślę, że on należy z tymi trzema do najlepszych, jakich ja znam w moim życiu: generał Fieldorf, Pilecki, on i „Łupaszka”. To są ludzie, tak samo, jak jest szereg partyzantów, którzy walczyli do śmierci, była beznadziejna sytuacja i oni walczyli, rozerwali się sami granatami. Też byli tacy. Nie kapitulowali, nie szli do niewoli, zabijali się sami. To jest tak samo jak japoński kamikadze, który sobie wsadza nóż w brzuch i z honorem ginie, bo ja uważam, co muszę dodać, że tutaj było tak samo w „Parasolu”, w „Zośce” i w innych oddziałach grupa ludzi, którzy walczyli, byli patriotami, ale wiedzieli, że jeżeli przyjdzie taka sytuacja, to trzeba oddać życie na ołtarzu ojczyzny. To jest to, co człowiek ma najważniejsze: życie. I tacy byli też. Byli bohaterscy ludzie i ginęli, ale byli też tacy, dla których nie mam uznania, którzy byli z nami, byli naszymi towarzyszami broni, a później dla kariery i dla jakiegoś lepszego życia szli na stronę komuny i robili to, że wydawali swoich towarzyszy broni najgorszym naszym nieprzyjaciółom. Na to nie mam wytłumaczenia ani uznania, tacy ludzie dla mnie nie egzystują. Ja byłem wierny Polsce, jestem i będę.

Panie generale, bardzo dziękujemy.

Dobrze. Dziękuję.

<KONIEC NAGRANIA 00:47:07>